Leszek A. GZELLA

# ZAWDZIĘCZAM AŻ TYLE...

Przyjechaliśmy z różnych miast Pomorza dużą grupą. Większość z nas nie miała w roku 1950 szans na przyjęcie na studia na uniwersytetach w Toruniu czy Poznaniu, w ogóle na państwowych uczelniach. Na przeszkodzie stały jakieś przeciwwskazania władz szkolnych lub donosy lokalnych agend bezpieki, albo po prostu tak zwane złe, niewłaściwe pochodzenie społeczne. Katolicki Uniwersytet Lubelski okazał się jedyną uczelnią, która wtedy przyjmowała kandydatów na studentów bez administracyjnych rekomendacji. Wśród ponad trzystu pięćdziesięciu (!) pierwszorocznych studentów polonistyki Pomorzaków łatwo się rozpoznawało po dość twardej wymowie, chociaż z miast pomorskich podejmowali wtedy studia również ci, dla których Pomorze stało się ostoją w powojennych warunkach, a ich proweniencje rodzinne sięgały Wilna i Wileńszczyzny czy kresów wschodnich.

Różnice poziomu intelektualnego studentów stawały się widoczne na proseminaryjnych zajęciach, na ćwiczeniach językoznawczych czy z zakresu literatury. Dla wielu kolegów programy uniwersyteckie były jakby dalszym ciągiem ich wcześniejszych zainteresowań, uformowanych w czasach szkolnych. Dla wielu jednak z nas na uniwersytecie zaczynał się dopiero czas olbrzymiego wysiłku intelektualnego, nadrabiania, doganiania i wyrównywania poziomu. Wynieśliśmy z pomorskich rodzin takie cechy, jak względna nieufność i dystansowanie się wobec otaczającej rzeczywistości, pracowitość, upór, nawet zaciętość, ale i chłonność, otwartość młodych umysłów na wiedzę, nowe wiadomości, kontakty. Wydaje się, że po pewnym czasie te początkowe różnice w rozwoju i znajomości przedmiotu wyrównały się czy częściowo lub całkowicie zatarły. Profesor zanotowała, że w miarę upływu lat ci „mniej dynamiczni, pracowitością i dyscypliną wyrównają wszelkie braki”[1].

W pierwszym szeregu aktywności polonistycznej na naszym roku znaleźli się Zdzisław Łapiński, Wiesław Paweł Szymański, Zosia Jasińska, Anka Wiercieńska, Renata Rudzka, Bronisław Mamoń, Wojtek Górny, Józek Wójcik, ale

[1] I. Sławińska, *Szlakami moich wód...*, Norbertinum, Lublin 1998, s. 134.

również Zdzisław Jastrzębski z Brodnicy, Boguś Kreja z podpelplińskiego Starogardu, Zdzisław Masłowski znad Jeziora Charzykowskiego czy Janka Mendalko z Gdyni.

Wykładowcy mieli więc do czynienia z bardzo zróżnicowanym środowiskiem studenckim. Profesor Sławińska, która w roku 1950 została zatrudniona na KUL, podjęła pracę organiczną na polonistyce, stawiała – można rzec – na grupę studentów wyróżniających się inteligencją, chłonnych wiedzy, pracowitych, ludzi z rozbudzonymi zainteresowaniami i o zaawansowanej orientacji polonistycznej. Nie stosowała jakichkolwiek ulg wobec nikogo. Od pierwszych zajęć była bardzo wymagająca, według niej odpowiedzialność i rzetelność u adeptów polonistyki powinny być wartościami ponad wszystkimi innymi. Mogła uznać usprawiedliwienie – nie przygotowałem się, nigdy jednak nie darowała stosowania czy choćby podejmowania prób różnych wybiegów „uczniowskich" w rodzaju – byłem chory, nie zdążyłem przeczytać. Traktowała nas nader poważnie, choć często ze zjadliwym uśmiechem wyrozumiałości. To jednak zobowiązywało. Nie można było tego zadatku zaufania zawieść.

Gdy byliśmy na pierwszym roku, Pani Profesor przejęła opiekę nad zakładem polonistycznym po profesorze Feliksie Araszkiewiczu, seniorze w gronie polonistycznych wykładowców. Na cotygodniowych „odprawach" w zakładowej bibliotece dowiadywaliśmy się raczej o naszych obowiązkach niż przywilejach. Opóźnienia przez dyżurnych otwarcia zakładu były wykluczone. Studenci korzystali w nim bowiem z lektur (a lista tych obowiązkowych na polonistyce lektur była długa, ponad dwieście pozycji), odrabiali w tak zwanych okienkach między zajęciami zadania na ćwiczenia i proseminaria. Pani Profesor zalecała rygoryzm w punktualności, samodzielności, uczciwości, w nieustannym samokształceniu. Biblioteka zakładowa w starym frontowym gmachu uczelni stanowiła centrum życia polonistycznego. Dla młodszych kolegów pełniliśmy funkcję przewodników po arkanach bibliotecznych. Dzięki Pani Profesor grupa polonistyczna naszego roku prawie zdominowała pracę w stołówce akademickiej. Pełniliśmy w zamian za całodzienne wyżywienie obowiązki kelnerskie. „Kelnerzy" dyrygowali też w porze obiadowej ruchem „zgłodniałych" setek studentów wystających w kolejce sięgającej nieraz pierwszego piętra. Praktycznie jednak bez możliwości ujarzmienia i uporządkowania żywiołu czekających osób, które wlewały się przez wąskie drzwi do stołówki.

Od pierwszych już wakacji letnich w roku 1951 wokół profesor Sławińskiej utworzyła się grupa polonistów, którym przewodziła też w licznych pozauniwersyteckich spotkaniach. Wspólne spływy kajakowe po Łynie, z lampionami, w księżycowe wieczory, wędrówki po okolicach Smołowa, gdzie w pałacu biskupa Krasickiego oddanym na letnie obozy studentom KUL kwaterowaliśmy, wypady do pięknych mazurskich miast, wtedy opuszczonych i dość zniszczonych (Frombork, Lidzbark Warmiński, Dobre Miasto), wreszcie wieczorne ogniska ze śpiewem czy recytacjami, które wypełniały program naszego pobytu

na letnisku. Ale nie tylko to, bo za przyczyną Pani Profesor upalne dni upływały pod znakiem intelektualnych sjest. Książka stawała się dla nas nieodzownym atrybutem codzienności, nie rozstawaliśmy się z nią ani na chwilę. Możemy powiedzieć, przejmując jak pałeczkę w sztafecie, dewizę Pani Profesor: „Lektura była najdosłowniej – naszą drogą”[2]. Czytaliśmy niedostępne lektury uzupełniające, wygłaszaliśmy referaty na temat lektur, dyskutowaliśmy. To były wypełnione i trudne godziny odpoczynku, wymagające stałej aktywności intelektualnej, dobrego przygotowania. Rozmowy nie ograniczały się wyłącznie do zwykłych prezentacji wcześniej ustalonego tematu, ale stawały się godzinami rozważań formacyjnych. Poznawaliśmy Chestertona, Baczyńskiego, Miłosza, Lieberta, Mauriaca, Bernanosa, ale i Maritaina. Dla wielu z nas były to nazwiska całkiem nowe. Miewaliśmy spotkania z wybitnymi pisarzami polskimi (Gołubiew, Malewska, Zawieyski, Kisielewski), a zimą na kursie narciarskim w Krynicy przez dwa tygodnie odpoczywaliśmy w towarzystwie Jana Dobraczyńskiego. Niektórzy z naszego grona obcojęzyczną twórczość przyswajali sobie z tekstów oryginalnych. Kółko samokształceniowe zamieniało się w Koło Krytyki Literackiej czy Koło Twórczości Własnej, później też Filmowej. Pismo studenckie „Polonista” stało się miejscem publikacji pierwszych prób literackich, poetyckich i recenzenckich. Program turystyczny nie uwalniał od „nieustannego kształcenia się”[3].

„Spędzało się wakacje ze studentami (w Smołowie albo we Fromborku), uczestnicząc żywo w ich życiu, w zawodach sportowych, biegach, pływaniu (niestety, bez sukcesów). Był to też okres perypatetycznych seminariów, wspólnych wypraw górskich i nie kończących się dyskusji, w których wyostrzali się przyszli krytycy...”[4] – pisała Profesor.

Dość szybko wykiełkowała i dojrzewała myśl utworzenia sekcji turystycznej. Po obozie letnim na Mazurach, umawialiśmy się na wędrówki w góry. Zwiedzaliśmy Tatry, Pieniny, Sudety, Beskidy, Bieszczady. Uzyskałem wtedy uprawnienia przewodnickie na rejon Tatr i Sudetów. Z perspektywy lat czas przygotowań turystycznych wypraw kurczy się do jednego wiersza zapisu, ale faktycznie wymagały one zabiegów i starań rozpisanych na tygodnie. Przecież były to lata, kiedy nie można było swobodnie przedostać się z Lublina do Zakopanego bez uzyskania specjalnego glejtu z uczelni. W rejon przygraniczny, w góry czy nad morze, wolno było wyjechać tylko jeden raz w sezonie.

Zainteresowanie turystyką na polonistyce zbiegło się z próbą utworzenia sekcji taternictwa, czemu przewodził dr Paweł Czartoryski, autor serii artykułów w krakowskim „Przekroju” popularyzujących taternictwo, które podpisywał czytelnym kryptonimem „DrPCz”. Niebawem za przyzwoleniem lubelskie-

---

[2] Tamże, s. 66.
[3] Tamże, s. 72.
[4] Tamże, s. 159.

go Zarządu Okręgu PTTK powstała Sekcja Alpinistyczna w Lublinie, a na KUL-u Koło PTTK nr 1. Dawny działacz kuratoryjny i turystyczny w okręgu PTTK pan Antoni Kochmański, życzliwy studentom naszej uczelni, podpowiedział takie rozwiązanie, które umożliwiało bezkonfliktowe uzyskiwanie zezwoleń na wyjazdy do miejscowości przygranicznych. Oczywiście, wszystko za przyzwoleniem partyjnych „oczu i uszu" czujnego pana S. w okręgu PTTK przy placu Litewskim 2.

Ale zanim to nastąpiło grupa polonistów spotykała się na niedzielnych spacerach na szlakach wokół Lublina. Odbywaliśmy je pod egidą profesor Sławińskiej, ona je inicjowała. Zwiedzaliśmy Sławinek, Dąbrowicę z ruinami zamku Firlejów od strony szosy warszawskiej, umawialiśmy się na wypady do Nałęczowa czy Kazimierza. Później pojawiło się Rogóźno z pięknym jeziorem i domkiem w lesie. Tak naprawdę domek był dość prymitywną drewnianą budką, ale stanowił rodzaj azylu, pozwalającego na pracę twórczą w spokoju i ciszy. Uczestnicy się zmieniali, nie zawsze było to grono tych samych wędrowców, ale profesor Irena była zawsze gotowa na bliższe i dalsze wędrówki. Towarzyszył nam często Danki Nagórnej rudy seter, który swoją naturalną głupotą nie nastrajał zbyt przyjaźnie czy refleksyjnie. Na tych wędrówkach tworzyły się podwaliny nieformalnego Klubu Czystego Nonsensu, którego niecodzienne pomysły zawsze gotowa była wspierać Pani Profesor. Poczucie humoru ceniła sobie wysoce. W jej otoczeniu nie znajdowali się „umysłowi ponuracy". Przewodzili w tymże klubie intelektualną przewrotnością Ignaś Sieradzki, Wojtek Górny, Danka Nagórna, Zdzisio Łapiński, Michał Lejko, a i mnie nie była idea takiej zabawy obca. Chyba od Danki poczęło się i utarło określenie „ciotka", którym obdarzyliśmy Panią Profesor. A może jego autorem był jednak Ignaś? Ten skrót pełen sympatii, jak pseudonim (stał się obiegowy wśród studentów), Pani Profesor zachowała do końca. Była naszą ciotką, życzliwą, w miarę opiekuńczą, ale i wymagającą, choć nikt nie zwracał się do niej per ciociu. Tak mówiliśmy o Pani Profesor między sobą. Pseudonim ten stanowił rodzaj znaku przyjaźni, zadzierzgniętej na dłużej, na długo, nie tylko na czas studiów.

Kółko adoratorów Pani Profesor, jak nas nazywano, składało się przeważnie z chłopców, zresztą dziewczęta nie zawsze mogły towarzyszyć naszym wyprawom, zwłaszcza że nieraz bywały one dość uciążliwe, forsowne. Profesor dzielnie dawała sobie radę z fizycznym trudem eskapad. Dystans ze Smołowa do Lidzbarka, który wynosi dwadzieścia jeden kilometrów, przeszliśmy w dwie godziny i dziesięć minut, co można było zaliczyć do sportowych wyczynów w chodzie. Uważano, że Pani Profesor preferuje towarzystwo męskie. Gdzieś w książeczce swoich bardzo ciepłych wspomnień napisała, że grono studenckie zastąpiło jej własne dzieci, bo „zabrakło mi przede wszystkim pełnej rodziny"[5].

[5] Tamże, s. 37.

Odczuwaliśmy jej prawdziwe zainteresowanie naszym losem, warunkami życia i mieszkania. Gdy cała nasza „czterdziestka" (numer pokoju w akademiku) wpadła w tarapaty i w konflikt z administracją domu przy ulicy Wyszyńskiego 8, wybroniła nas, załatwiła nam na pół roku zastępcze miejsca w willowym akademiku pod Lublinem w Krężnicy Jarej, chociaż groziło nam pozbawienie prawa do zamieszkania w internacie.

Należałem do tych studentów, których Pani Profesor obdarzała czy wyróżniała swoją przyjaźnią. Czy dużo mi darowała? Na pewno wpłynęła pozytywnie na proces kształtowania mojej postawy, samookreślenia się ideowego, choć z tym nie miałem wielkich problemów. Chłopięce przeżycia w szeregach harcerstwa w czasie Powstania Warszawskiego, udział w drużynie powstańczej Poczty Polowej w Śródmieściu, ale zapewne głównie wychowanie religijne i orientacja polityczna wyniesione z domu rodzinnego wytyczyły moją drogę ideową. Byłem pełen ufności wobec wychowawców, zawsze nienasycony wiedzy, otwarty na nowości. Gdy znalazłem się po trzech latach studiów wśród pięćdziesięciu jeden polonistów naszego rocznika dopuszczonych do kursu magisterskiego, zdecydowałem się uczestniczyć jednocześnie w zajęciach wszystkich możliwych kierunków specjalizacyjnych: pedagogicznym, bibliotecznym i edytorskim. Nie miałem zdecydowanych preferencji, wszystkie mnie interesowały.

Wiedzieliśmy, że po studiach na KUL-u przyszłość nie będzie stała przed nami otworem. Mówili nam o tym nie tylko profesorowie: Czesław Zgorzelski, Feliks Araszkiewicz i Irena Sławińska, ale także sygnały z naszych miast rodzinnych nie wróżyły nic dobrego. Przygotowywaliśmy się raczej na najgorsze. Po zdaniu 10 czerwca 1955 roku egzaminu magisterskiego wobec szacownej komisji w składzie: prof. Irena Sławińska jako promotor, prof. Feliks Araszkiewicz i prof. Andrzej Wojtkowski (historyk, dziekan Wydziału Humanistycznego), stałem się absolwentem z tytułem magistra i kompletną pustką w zakresie planów zawodowych na przyszłość, bez wyraźnych perspektyw. Nie chciałem przyjąć pracy księgowego w spółdzielni, co mi proponowano.

Wiedziałem na pewno, że w lipcu i sierpniu odbędę obóz taternicki na Hali Gąsienicowej i w Morskim Oku. Byłem już członkiem zwyczajnym klubu taternickiego. Pani Profesor wcześniej „robiła", jak to się w języku taternickim mówiło, różne drogi wspinaczkowe. Teraz dojechała do Zakopanego z prof. Marią Lutmanową, przyjaciółką z Wrocławia. Zaplanowaliśmy kilka wspólnych wypraw. W szóstym tomiku przewodnika taternickiego Witolda H. Paryskiego *Tatry Wysokie* zachował się mój zapis wejścia drogą 851. na Cubrynę od Przełączki pod Zadnim Mnichem. Ufnie powierzyła mi rolę prowadzenia. Paryski w swoim przewodniku zaznaczał: „Droga miejscami dość trudna i częściowo eksponowana"[6]. Profesor sprawnie i bez wysiłku ją przeszła, choć według prze-

[6] W. H. Paryski, *Tatry Wysokie*, cz. 6, Spółdzielczy Instytut Wydawniczy „Kraj", Warszawa 1952, s. 36.

wodnikowego zapisu droga zapowiadała różne niespodzianki wspinaczkowe. Trzeba było przejść wpierw „za krawędź do skalistej rynny, która niżej jest podcięta”[7], następnie „w górę ową rynną (zrazu wąską i stromą)”[8]. Półtoragodzinna wspinaczka w upalny dzień 22 sierpnia 1955 roku była piękną przygodą tatemicką. Ołówkiem na marginesie *Tatr Wysokich* dopisałem: „Ze Sławińską” i datę przejścia.

W innym sezonie, kiedy biwakowaliśmy nad Morskim Okiem poniżej drogi pod Mnicha, Profesor namówiła nas na kąpiel w zimnym jeziorze, co zresztą było zabronione w rejonie ścisłego rezerwatu. Po paru metrach kraula wyskakiwaliśmy z topieli jak oparzeni. Profesor pływała najdłużej, zresztą podobnie jak my szczękając zębami z zimna.

To umiłowanie gór, turystyczne wędrowanie przejęliśmy od Pani Profesor i doskonaliliśmy je na wielu różnych wyprawach. Na zachowanych zdjęciach dokumentujących eskapady w Bieszczady czy Beskidy, w Pieniny czy Sudety widać grupę utrudzonych wędrowców, wśród których Profesor zawsze była tryskająca siłą i energią, dobrym zdrowiem, humorem. „Ciotka jest nie do zdarcia!” – konstatowaliśmy pełni podziwu dla jej kondycji. Tak było. Często byliśmy wyczerpani, padaliśmy pokotem na trawę obok swoich plecaków, szliśmy, uginając się pod ciężkimi workami, w których trzeba było nosić żywność na cały tydzień, bo po drodze, na przykład w Bieszczadach, przez wiele dni nie było żadnych punktów żywnościowych, a tym bardziej noclegowych.

Jedynie niebezpieczne wypadki, które się zdarzały, czasami bardzo dotkliwe, temperowały jej energię. W Bieszczadach wydarzył się jeden z nich. W oczekiwaniu na kolację, którą przygotowywały dziewczęta w kuchni gościnnej gospodyni, odpoczywaliśmy w stodole na sianie. Niektórzy przysnęli. Wezwanie na posiłek: „Kolacja gotowa, prosimy do stołu!”, zbudziło śpiących. Trzeba było po wysokiej drabinie zejść na klepisko. Profesor raptownie zbudzona zapomniała, że jest na stercie siana pod dachem stodoły i ruszyła prosto przed siebie. Upadek na twarde klepisko był bolesny, przykry i nadzwyczaj niebezpieczny. W pierwszej chwili sytuacja rozśmieszyła nas, ale do śmiechu nie było. Sądziliśmy nawet, że upadek mógł spowodować wstrząs mózgu. Lekarza wśród nas nie było, a i od jakiegokolwiek punktu medycznego, przychodni zdrowia czy szpitala dzieliło nas parę dni drogi przez nieprzetarte szlaki porosłych trawami gór. Było to akurat 22 lipca. W Komańczy, gdzie była stacja kolejowa, rozdzieliliśmy się. Profesor oraz jeden z nas pociągiem pojechali do Krakowa. Pozostali wędrowcy doszli do Krynicy. Tam – w przytulnym mieszkanku Danki Markwitzówny – dotarła uspokajająca i radosna wiadomość, że Pani Profesor czuje się już dobrze. W sudeckich Górach Kamiennych natomiast Profesor skaleczyła sobie głowę o skałę, po paru dniach ślady szczęśliwie zniknęły.

---

[7] Tamże.

[8] Tamże.

W lubelskim PTTK podjęliśmy się pracy wytyczania szlaków turystycznych po Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim. Profesor Sławińska zachęcała nas do opracowywania przewodników, informatorów, w ogóle do pisania. Mawiała: „Trzeba to wszystko opisać, bo brakuje odpowiednich informatorów turystycznych, a pilne zapotrzebowanie na nie ułatwi realizację publikacji". Czy wtedy zaczęła kiełkować we mnie myśl pracy dziennikarskiej? Chyba nie, bo wcześniej w roku 1953 debiutowałem jakimiś informacjami w prasie, traktując to zresztą dość obojętnie. A po studiach, po kilkumiesięcznym poszukiwaniu odpowiedniej pracy, zakotwiczyłem się w dziale biblioteczno-wydawniczym CIDNT (Centralny Instytut Dokumentacji Naukowo-Technicznej w Warszawie). Na krótko. Wróciłem niebawem do Lublina i tu zacząłem pracować jako dziennikarz.

Podejmowaliśmy kilka wspólnych wypadów turystycznych nad jeziora łęczyńsko-włodawskie, do Kazimierza, które stawały się okazją do poznania terenu, wiosek i osad Lubelszczyzny, ale i ludzi, czasami również ich problemów. Chętnie się nimi z nami dzielili. Gdy profesor Sławińska wczasowała w Tleniu nad rozlewiskiem Czarnej Wody, odwiedziła mój dom rodzinny. Rodzice starali się z uszanowaniem podjąć ją obiadem podawanym na trochę już zabytkowej porcelanowej zastawie stołowej, używanej wyłącznie w czasie świątecznych okazji. Pieczeń z sarny była, jak zawsze w Borach Tucholskich, przedniej jakości i świetnie zresztą przez mamę przyrządzona. Dodatkami były: zupa, kompot, ciasto z kawą. Wspominała później kilka razy tę ucztę dla ciała – jak ją określała. Podobnie zresztą wspominała z czasów studenckich serdeczne przyjęcie w domu Zdzicha Jastrzębskiego w Brodnicy, dokąd dotarliśmy na suty obiad po wielogodzinnym wędrowaniu szlakiem wzdłuż Drwęcy. Nie zmieniła swojego osądu o pomorskim mieszczaństwie, zasobnym w tradycję i – przed wojną – w dostatek. Ale tylko tyle. Wiadomo, na Pomorzu było więcej „mieszczańskości" niż ziemiaństwa.

Profesor wiele razy mówiła, że jej pokolenie nie zaznało gniazda rodzinnego. „Gdzież jest ten dom? Przecież go nigdy nie miałam"[9]. Najwyżej w relacjach między studentami ceniła sobie przyjaźń. Przyjaźnie – napisała – rodziły się „najpierw poza obrębem sal wykładowych: na spotkaniach u mnie w domu, ale i najczęściej w lesie, nad jeziorem, na wyprawach w góry"[10]. Wspólne wędrowanie, turystyka górska, narciarska, spływy kajakowe, kąpiele skutecznie likwidowały naturalną barierę i dystans, jakie narzucają odmienne role wychowawcy i studenta. „Z czasem wyrosły z tego przyjaźnie rodzinne, do dziś trwające: ogarniają «przez pączkowanie» już dzieci moich studenckich córek i synów! To otwarte zawsze dla mnie, kochane domy! Życzliwe, opiekuńcze, ciepłe!"[11].

---

[9] Sławińska, *Szlakami moich wód...*, s. 22.
[10] Tamże, s. 83.
[11] Tamże.

Po latach spotykaliśmy się na kawie, u Pani Profesor, częściej u nas, w naszym lubelskim domu. Narzekała, że młodzież tak chętnie i łatwo ucieka z Polski i podejmuje pracę za granicą. Tu tyle do zrobienia. Podejrzewała, że większość decyzji o emigracji wynikała głównie z dążenia do zdobycia finansów i szybkiego dorobienia się. Takie postawy oceniała negatywnie.

W końcu lat siedemdziesiątych skontaktowaliśmy naszą przyjaciółkę przebywającą we Włoszech, później we Francji, Irenę Mamczarz, z Panią Profesor. Irena studiowała rok na KUL-u romanistykę, ale w lubelskim okresie nie miała okazji stykać się z Panią Profesor. Studia ukończyła w Warszawie. Po wyjeździe z Polski w roku 1957 pracowała na uniwersytetach w Rzymie i Padwie, następnie na paryskiej Sorbonie. Gdy profesor Mamczarz podjęła inicjatywę organizowania międzynarodowych konferencji naukowych poświęconych problemom teatru, dramatu, opery, kontakt z profesor Sławińską okazał się niezwykle cenny, zresztą dla obu stron. W konferencjach brali udział znawcy zagadnień niemal z wszystkich liczących się w Europie i za oceanem ośrodków uniwersyteckich. Klasa i profesjonalizm profesor Sławińskiej, która uczestniczyła w tych spotkaniach jako referentka i kilka razy jako przewodnicząca sesji, podnosiła ich rangę, nobilitowała. Irena Mamczarz była – i jest – niezmordowana w organizowaniu tych konferencji z udziałem badaczy i naukowców z zakresu teatru europejskiego, dramatu, komedii dell'arte i opery. Zawsze starała się na miejsca owych spotkań dobierać szczególnie atrakcyjne miejscowości: Paryż, Fontainebleau-Versailles, Theoule-sur-Mer nad Morzem Śródziemnym. Po zajęciach sesyjnych była okazja do zażywania kąpieli w nagrzanych wodach morskich.

Kongresy owocowały nowymi publikacjami w postaci posesyjnych sprawozdań. Trzeba również powiedzieć, że te wydawnictwa powstawały w... Lublinie. Dokonywano tu składów drukarskich, korekty, przygotowywano klisze, które drogą pozaoficjalną wywożono do Paryża, gdzie drukowano kolejne książki. W pewnym sensie pełniłem funkcję aranżera niektórych tomów wydawanych pod firmą CNRS (Centre National de la Recherche Scientifique) Uniwersytetu Paryskiego – IV Sorbony, zajmując się przygotowaniem edytorskiej strony materiałów. Niemal jak kurier przewoziłem arkusze lub klisze, zresztą w różnej postaci drukarskiego zaawansowania, na Zachód. Można więc mówić, że piękna forma tych wydawnictw otrzymywała swój edytorski kształt w Lublinie, co tylko w jednym z tych tomów zaznaczono wprost.

Artykuły Pani Profesor (poświęcone m.in. Norwidowi, Gozziemu, dramatowi religijnemu) ukazały się w kilku tomach (w rocznikach: 1985, 1987, 1991, 1992, 1994), wydawanych dzięki dotacjom Rady Europejskiej.

Po powrocie profesor Sławińskiej ze Sztokholmu, gdzie uczestniczyła w uroczystości wręczania literackiej Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi, z którym przyjaźniła się jeszcze w czasach wileńskich, Pani Profesor przekazała nam szczegółową relację. Ukazała się ona w „Kurierze Lubelskim", gdzie pracowałem, zilustrowana oryginalnymi zdjęciami.

Pani Profesor życzliwie przyglądała się mojej działalności krytyka teatralnego uprawianej na łamach dziennika w czasie ćwierćwiecza pracy w „Kurierze Lubelskim" (do wybuchu stanu wojennego). Kiedy podjąłem przygotowanie tomu szkiców i wspomnień z dziejów teatru lubelskiego z okazji czterdziestolecia Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, zwróciłem się do Pani Profesor z prośbą o napisanie okazjonalnego artykułu. Propozycję przyjęła i wyraziła zgodę na druk w jubileuszowej, dość opasłej księdze zatytułowanej *Jego siła nas urzekła...*, wydanej w roku 1985 w Lublinie, swojej wypowiedzi wygłoszonej na sesji teatralnej w roku 1979. Jej tytuł brzmiał „Wysoki wymiar teatru", a traktowała o scenicznych realizacjach sztuk Norwida na deskach lubelskiego teatru, podejmowanych przez Kazimierza Brauna.

Profesor Sławińskiej zawdzięczam zwrócenie mi uwagi na maszynopisy Brunona Morzyckiego, z którego córkami w Mielcu i Zakopanem utrzymywała przyjacielskie kontakty. Zachęciła też do opisania niezwykłego życiorysu redaktora. Morzycki był redaktorem narodowego „Głosu Lubelskiego" w latach przed rokiem 1939. Aresztowany przez gestapo w Lublinie, więziony w Berlinie, a następnie w obozach koncentracyjnych, po wojnie zniknął bez śladu. Okazało się, że został porwany z wiedeńskiej ulicy przez agentów NKWD i wywieziony do Moskwy. W sowieckich łagrach przetrwał siedemnaście lat, nie mając możliwości poinformowania nawet rodziny o miejscu swojego przymusowego pobytu. Powrócił do Polski, napisał kilka bardzo ciekawych opowiadań, niektóre drukował, większość pozostała jednak w rękopisie. Nazwiska przedwojennego redaktora bardzo popularnego dziennika lubelskiego brakowało do pełnej panoramy dziennikarstwa Lublina do roku 1939, które opracowywałem.

Bardzo sobie cenię dedykacje, które Pani Profesor złożyła mi na kilku swoich pracach. Najwcześniejsza na odbitce drukowanej pracy *O komediach Norwida* z serii „Sprawozdań PAU", bardzo serdeczna i wzruszająca: „Kochanemu Leszkowi z wyrazami dzikiej zazdrości, Lublin, wrzesień 1953 Irena Sł.". Tę zazdrość wzbudziły w Pani Profesor moje ówczesne sukcesy taternickie. Na tomiku wspomnieniowym *Szlakami moich wód...* Profesor natomiast wpisała: „Kochanym Przyjaciołom Hali i Leszkowi z przypomnieniem dawnych lat i wypraw górskich. Lublin, 1998, Irena Sławińska". I z jej książki: „Piękne przyjaźnie – cóż cenniejszego na świecie?"[12].

Profesor Irenie Sławińskiej zawdzięczam wiele, bardzo dużo, żeby nie powiedzieć – niemal wszystko, co wpływało na moją formację duchową i intelektualną humanisty, na kondycję moralną, na postawę społeczną. Może i na wybór drogi zawodowej.

[12] Tamże, s. 39.